

PRENUMERATA

OD **12** ZŁ/NR + KSIĄŻKI
O WARTOŚCI
NAWET **100 ZŁ**
~~19,90~~ **GRATIS!**

DOSTAWA KAŻDEGO NUMERU: GRATIS!

Prenumerata półroczna (6 numerów): **90 zł** 15 zł/numer
+ 1 książka gratis

Prenumerata roczna (11 numerów*): **143 zł** 13 zł/numer
+ 2 książki gratis

Prenumerata dwuletnia (22 numery*): **264 zł** 12 zł/numer
+ 3 książki gratis

* – numery wakacyjne są podwójne

Wybierz dogodny sposób zapłaty:

- Druk przelewu dołączony do miesięcznika
- Formularz na: www.znak.com.pl/miesiecznik

*Więcej informacji i lista
książek do wyboru:*
Tel. 12/6199569
sklep@znak.com.pl



Wolisz prasę elektroniczną? Czytaj „Znak” w dowolnym formacie! (ePUB, MOBI, PDF, APPSTORE)
Wejdź na www.miesiecznik.znak.com.pl/e-wydania



DOMINIKA KOZŁOWSKA

Rywalizacja i solidarność?

W ostatnich miesiącach obchodzimy dwie ważne rocznice: 10-lecie wejścia do Unii Europejskiej i 25-lecie wyborów czerwcowych. Niedawne wybory do Parlamentu pokazały, że choć większość partii i obywateli opowiada się za naszą obecnością w europejskich strukturach, różnią nas wizje rozwoju Unii Europejskiej. Scenariusze są dwojakie: stowarzyszenie państw narodowych albo pełna integracja. Zwolennicy tego drugiego kierunku podkreślają, że działania w tym zakresie nie mogą ograniczać się jedynie do wejścia do strefy euro ani poszerzenia spektrum spraw, w których poszczególne państwa mówią jednym głosem, np. o wspólną politykę zagraniczną czy energetyczną, ale także musi obejmować coraz silniejszą integrację społeczną. Ta zaś prowadzić będzie do osłabienia znaczenia państw narodowych – silnych wspólnot politycznych – na rzecz Europy regionów i kultur.

Być może spory, które polaryzują się dookoła tych dwóch scenariuszy, nie byłyby tak gwałtowne, gdyby nie fakt, że dotyczą one jednej z kluczowych antynomii naszych czasów, mianowicie napięcia między indywidualną wolnością a wspólnotowością i solidarnością. „Dlaczego próbowaliśmy się oswobodzić spod wpływu wielopokoleniowej rodziny?” – pyta prof. Chantal Delsol w rozmowie publikowanej w czerwcowym Temacie Miesiąca. „Ponieważ oznaczało to jednocześnie wyzwolenie się spod patriarchy”, czyli spod władzy. Naiwnością byłoby wierzyć w możliwość istnienia wspólnoty bez władzy. Nawet pierwsze wspólnoty chrześcijańskie, stawiane nieraz za wzór zrównoważonej relacji między wolnością a zaangażowaniem, jednoczyła i integrowała osoba biskupa lub innego przełożonego. Im silniejsza wspólnota, tym więcej niewygód i ograniczeń indywidualnej wolności napotyka jednostka. Im więcej jednostkowej wolności, tym słabsze wspólnoty.

Spójrzmy na tę antynomię z perspektywy naszych polskich doświadczeń. Rok 1989 dał początek dwóm wielkim rewolucjom: politycznej i gospodarczej. Ich celem było poszerzenie przestrzeni indywidualnej wolności obywatelskiej i gospodarczej. Zmiany ustrojowe powinny iść w parze z równie głęboką zmianą społeczną: kruszeniem silnych, jednolitych narracji na temat rodziny, pracy, ról społecznych kobiet i mężczyzn. Ta zmiana, co obrazuje m.in. niedawny spór o *gender*, wywołuje ogromne napięcia społeczne. Są one zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę, że nasza kultura, nasza świadomość, nasz system wartości na zmiany reagują z opóźnieniem. Jeżeli dziś pojawiają się oddolne projekty mające na celu rekonstrukcję wspólnoty, oznacza to, że nasze doświadczenie wolności staje się coraz bardziej stabilne, dzięki czemu jesteśmy gotowi przyjąć pewną liczbę wiążących się z tym niewygód. Dążenie to zatrzymuje się obecnie na pytaniu, jakie wspólnoty chcemy budować, jak odtwarzać to, co wspólne w wymiarze całego, coraz głębiej różnicującego się społeczeństwa.

Z wielu możliwych odpowiedzi w czerwcowym Temacie Miesiąca skupiliśmy się na pytaniach o możliwość budowania tego, co wspólne, poprzez pracę. Reformy wolnorynkowe zainicjowane przez rząd Tadeusza Mazowieckiego ujawniły omawianą antynomię wolności jednostkowej i solidarności w całej swej mocy: zmiana ustroju spowodowała, że na rynku pracy obowiązywać zaczęły zasady rywalizacji jednostek i podmiotów gospodarczych, odsuwając na dalszy plan – w sferę mniej lub bardziej spójnie realizowanej polityki społecznej – społeczną solidarność wyrażającą się m.in. poprzez troskę o podmioty słabsze. Alternatywa: wolny rynek czy gospodarka socjalistyczna, tak żywa w początkowym okresie transformacji, przeniosła się dziś na wyższy poziom i można ją sprowadzić do pytania: w jaki sposób w warunkach gospodarki rynkowej wspierać te inicjatywy i podmioty, które realizują ważne społeczne cele oraz tworzą kulturę współpracy? Jaką rolę w tym procesie odegrać mogą religia oraz podmioty ekonomii społecznej? O kształcie tej wizji dyskutują: Zygmunt Bauman, Halina Bortnowska, Chantal Delsol, Jerzy Hausner i Jacek Wasilewski.



FOT. ANDRZEJ IWANCUK/REPORTER

26

O ZAWIŁYCH
DZIEJACH
PRACY
SPOSTRZEŻEŃ
PARĘ

TEMAT MIESIĄCA: PRACA

Zmiana ustroju spowodowała, że na rynku pracy obowiązywać zaczęły zasady rywalizacji jednostek i podmiotów gospodarczych, odsuwając na dalszy plan społeczną solidarność. W jaki sposób w warunkach gospodarki rynkowej wspierać te inicjatywy i podmioty, które realizują ważne społeczne cele oraz tworzą kulturę współpracy i solidarności?

- 12 Przetwarzanie torów, Z Jerzym Hausnerem rozmawia Dominika Kozłowska
- 20 Praca czy zawód?, Z Jackiem Wasilewskim rozmawia Dominika Kozłowska
- 26 O zawiłych dziejach pracy spostrzeżeń parę, Zygmunt Bauman
- 35 Twarda mowa, Z Haliną Bortnowską rozmawia Anna Mateja
- 42 Ekonomia solidarności, Z Chantal Delsol rozmawia Mateusz Burzyk

DEBATY

- 54 Którędy do równości?, Marzena Zdanowska
- 58 Niedotykalni na papierze, Marta Zdzieborska
- 64 Pakistańska moda z przesłaniem, Katarzyna Jakubowska



FOT. MACIEJ KUROW/PAP

77 CZY POLACY SĄ
ANTYSEMITAMI?



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

94

NIEROZWIĄZANA ZAGADKA
SHERLOCKA HOLMESA

IDEE

- 70 Prawo do Sprawiedliwych, Marta Duch-Dyngosz
- 77 Czy Polacy są antysemitami?, Ireneusz Krzemiński
- 86 Syjoniści kontra Żydzi polscy. Palestyńskie echa memoriału Tuwima, Michał Sobelman

ŁUDZIE - KSIĄŻKI - ZDARZENIA

- 96 Sherlock Holmes, czyli pokusa racjonalizmu, Michał Cetnarowski
- 102 Ankieta „Znaku”: W kryminale, Zbigniew Mikołajko, Małgorzata Szpakowska, Wojciech J. Burszta, Małgorzata Łukasiewicz, Robert Ostaszewski, Justyna Bargielska
- 107 Rzec o smutnych sowizdrzałach, Krzysztof Wołodźko
- 113 Dziennik dziewczyny, która będzie Osiecką, Łukasz Garbał
- 118 Lęk, żarliwość i masowa przemoc, Jakub Muchowski
- 119 Historia dla Amerykanina, Michał Przeperski
- 120 Rafael na śniegu, Anna Arno
- 124 Popatrz na zdjęcie, Wojciech Bonowicz
- 126 „Wszyscy mu coś zawdzięczamy”. Notatki o Różewiczu, Wojciech Bonowicz

POŻEGNIANIE

- 6 Czytajmy ks. Kracika, Janusz Poniewierski
- 8 Soborowe reformy między bytem a niebytem, ks. Jan Kracik

STAŁE RUBRYKI

- 50 Józefa Hennełowa: Coraz bliżej albo coraz mniej
- 51 Justyna Bargielska: Z pułapki w pułapkę
- 122 Jerzy Illg: Mój przyjaciel wiersz



FOT. MARTA ZDZIEBORSKA

54
KTÓRĘDY
DO RÓWNOŚCI?

ZNAK

M I E S I Ę C Z N I K

ul. Tadeusza Kościuszki 37, 30-105 Kraków
tel. (12) 61 99 530, fax (12) 61 99 502
www.miesiecznik.znak.com.pl
e-mail: miesiecznik@znak.com.pl

REDAKCJA: Marta Duch-Dyngosz, Dominika Kozłowska (REDAKTOR NACZELNA), Janusz Poniewierski, Agnieszka Rzonca, Justyna Siemienowicz, Krystyna Strączek, Karol Tarnowski, Henryk Woźniakowski

ZESPÓŁ: Wojciech Bonowicz, Bohdan Cywiński, Tomasz Fiałkowski, Tadeusz Gadacz, Jarosław Gowin, Stanisław Grygiel, ks. Michał Heller, Józefa Hennełowa, Wacław Hryniewicz OMI, Jerzy Illg, Piotr Kłodkowski, ks. Jan Kracik, Janina Ochojska-Okońska, bp Grzegorz Ryś, Władysław Stróżewski, Stefan Wilkanowicz

WSPÓŁPRACA: Andrzej Brylak, Paulina Bulska, Piotr Cebo, Monika Gałka, Aleksander Gomola, Ilona Klimek, Elżbieta Kot, Cezary Kościelniak, Daniel Lis, Anna Mateja, Urszula Pieczek, Tomasz Ponikło, Jolanta Prochowicz, Adam Puchejda, Miłosz Puczyłdowski, Marcin Sikorski

OPIKA ARTYSTYCZNA: Władysław Buchner

PROJEKT OKŁADKI: Władysław Buchner

SKŁAD I ŁAMANIE: Barbara Sadowska

PROJEKT GRAFICZNY PISMA: Marek Zalejski/Studio Q

KIEROWNIK PRODUKCJI: Magdalena Wojaczek

KOREKTA: Barbara Gąsiorowska

DRUK: Drukarnia Colonel, Kraków, ul. Dąbrowskiego 16

PROMOCJA I REKLAMA: Monika Gałka, tel. (12) 61 99 530, e-mail: galka@znak.com.pl

PRENUMERATA: Joanna Dyląg, tel. (12) 61 99 569, e-mail: dylag@znak.com.pl

Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych ogłoszeń. Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

Ministerstwo
Kultury
i Dziedzictwa
Narodowego

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Ks. Jan Kracik

(11 listopada 1941 – 24 kwietnia 2014)

Z żalem żegnamy ks. prof. Jana Kracika, historyka Kościoła, publicystę, członka zespołu redakcyjnego miesięcznika „Znak”, naszego znakomitego autora i wypróbowanego przyjaciela.

Jego teksty uczyły nas dojrzałego chrześcijaństwa.
I pokazywały, że bycie katolikiem nie oznacza przemilczania trudnych i bolesnych problemów Kościoła.

Redakcja miesięcznika „Znak”

Czytajmy ks. Kracika

JANUSZ PONIEWIERSKI

Kto kiedykolwiek czytał ks. Jana Kracika, wie, że jego książki nie są skierowane jedynie do osób zainteresowanych historią. Powinien natomiast sięgnąć po nie każdy, komu leżą na sercu sprawy Kościoła, jego teraźniejszość i przyszłość

Historia bliższa ludziom to tytuł książki pamiątkowej, ofiarowanej ks. prof. Janowi Kracikowi na 70. urodziny. Tytuł niezwykle trafny, ks. Kracika bowiem – jako badacza dziejów – w jego twórczości i pracy dydaktycznej nade wszystko interesował człowiek. Każdy człowiek! Czasem był to ktoś, kto znacząco wpłynął na losy świata i Kościoła (o takich postaciach opowiada np. książka *Święci wielcy i pomniejsi*), o wiele częściej jednak „szeregowiec historii, który słyshał na przemian dudnienie jej kół, terkot żaren, kano-nadę wydarzeń dziejowych i bicie własnego serca”. Jak anonimowi bohaterowie pracy napisanej przezeń wraz z Michałem Rożkiem: *Hultaje, złoczyńcy, wszetecznicze w dawnym Krakowie*, albo ofiary epidemii dziesiątkujących Europę (im z kolei poświęcona jest rozprawa *Pokonać czarną śmierć. Staropolskie postawy wobec zarazy*). Swoich studentów Ksiądz Profesor uczył, że w historii nie ma rzeczy nieciekawych, gdyż ostatecznie historia to – zawsze pasjonujące! – spotkanie z człowiekiem.

Pamiętam, jak trudno było go namówić na napisanie jakiejś wielkiej syntezy, np. dziejów 2000 lat chrześcijaństwa. Z reguły odmawiał, czasem nawet dość kategorycznie. Wolał szperać w archiwach, dotykać kon-

krety, a potem opracowywać monografie takich miejsc jak rodzinne Spytkowice czy krakowski Kleparz – dziel-nica, w której mieszkał. I choć, jako uczony, rozumiał konieczność spoglądania na historię z lotu ptaka, sam preferował „żabią perspektywę”. Powtarzał, że „odło-żywszy teleobiektyw, warto niekiedy posłużyć się lupą”, by – zamiast czarno-białych schematów i krzywdzących uogólnień – umieć zobaczyć różne odcienie szarości.

Umiejętności dostrzeżenia walki dobra ze złem we wnętrzu człowieka – zarówno świętego, jak i łotra – uczył się od Tadeusza Żychiewicza, którego twórczość zafascynowała go już w latach 60. ubiegłego wieku. Gra-nice cnoty i niecnoty – pisał – „przecinają się najczęściej w ludzkich sercach, a te są zaiste do końca niezbadane i u świętych, i u grzeszników. Tylko w legendach pojawiają się charaktery gotowe i jednoznaczne, jak w jasełkach lub westernie. Życie jednostek i społeczności chrześcijańskich jest drogą, łącznie z wieloma przypadkościami towarzyszą-cymi pielgrzymiej kondycji, takimi jak zmienność tempa, przedłużane postoje, zbaczanie z kursu, upadki, podno-szenie się i pomaganie w tym innym. W owym stawaniu się jest przecież potłuczone i leczone Boską oliwą piękno człowieka i Kościoła”.

Jego pasją był Kościół. Pisał o nim mądre eseje, zebrane potem w tomach, których tytuły trafiały w sedno Kracikowej eklezjologii: *Święty Kościół grzesznych ludzi* oraz *Powszechny, apostołski, w historię wpisany*. Z powodu tych tekstów – głęboko uczciwych, a uznanych przez wielu za obrazoburcze – zarzucano mu nieraz, że koncentruje się na tym, co ciemne, że buduje „czarny piar” Kościoła. Tak jakby nie zauważano, że owe artykuły są tak naprawdę wyrazem miłości – i jego odpowiedzią na soborowe i papieskie wezwanie Kościoła do pokuty, nawrócenia i „oczyszczenia pamięci”. Pojmie to każdy, kto uważnie przeczyta wstęp do *Świętego Kościoła grzesznych ludzi* czy choćby wybrane przez autora motto, zaczerpnięte z pism Erazma z Rotterdamu: „Dlatego znoszę ten Kościół, dopóki lepszego nie zobaczę; Kościół zaś zmuszony jest znosić także i mnie, dopóki sam lepszym się nie stanę”.

Kto kiedykolwiek czytał Kracika, wie, że jego książki nie są skierowane jedynie do osób zainteresowanych historią. Powinien natomiast sięgnąć po nie każdy,

komu leżą na sercu sprawy Kościoła, jego teraźniejszość i przyszłość. Bo ks. Kracik, historyk, był również teolo-giem, człowiekiem wiary. Dostrzegał w Kościele grzech i nie starał się go tuszować ani pomniejszać, ale jedno-cześnie patrzył głębiej i o tym, co zobaczył – o świętości i pięknie pomimo grzechu i brzydoty – potrafił opo-wiedzieć, wywołując nieraz w czytelnikach religijne wręcz wzruszenie. Jak wtedy gdy – snując rozważania o „trwogach i nadziejach końca wieków” – zakończył je przejmującą modlitwą. Modlitwa w książce uczonego historyka?! Zdaniem ks. Adama Bonieckiego na tym właśnie polegała „genialność jego metody wykładu: długo prowadził czytelnika płataniną dróg ludzkich poszukiwań, tęsknot na ludzką miarę, wzlotów – jak się często okazuje – pozornych i słabości, by doprowadzić na próg świetlistej krainy objawionej przez słowo Boże. Modlitewne »Amen« teologa (...) zamknęło książkę historyka (...)”.

Tę swoistą Kracikową interdyscyplinarność doceniła kapituła przyznanej mu w tym roku Nagrody im. ks. Józefa Tischnera: „Z jego książek przebija [bowiem] nie tylko dociekliwość historyka, ale też głęboka mądrość, pozwalająca odróżnić ludzkie namiętności od tego, co jest istotą chrześcijaństwa”. Więcej jeszcze (to już moje dopo-wiedzenie do werdyktu kapituły): słyshać w nich głos proroka, ostrzegającego Kościół przed tym, by (po raz kolejny!) nie zszedł na manowce.

Warto czytać Kracika. Jego teksty – np. *Kościół i sumienie, Chrześcijański antysemityzm, Wielebni, prze-wielebni, najprzewielebniejsi, Kościoła mężczyzn i kobiet droga przez wieki, Chrześcijaństwo wobec pokusy fun-damentalizmu czy wreszcie Ruchome granice krytyki Kościoła* – wciąż zachowują aktualność. Bo – używając formuły Norwida – one mówią o „dziś, tylko cokol-wiek dalej”.

Jego uczeń bp Grzegorz Ryś nie ma wątpliwości, że ks. Kracik był myślicielem i chrześcijaninem ukształ-towanym przez *Vaticanum Secundum*: „To fantastyczne, że można być kimś, kto właściwie bez przerwy »siedzi« w XVI czy XVII wieku, i jednocześnie człowiekiem Kościoła II Soboru Watykańskiego”. Żałuję, że nie zdą-żyłem Księdza Jana zapytać o papieża Franciszka, jestem jednak pewien, że odpowiedź, jakiej by udzielił, byłaby entuzjastyczna. Mówię to zarówno na podstawie jego tekstów, wyrażających tęsknotę za Kościołem ubogim i bliskim Ewangelii, jak i osobistej znajomości z Księdzem Profesorem, wiedzy o tym, kim był jako człowiek. Ale i obecny papież – śmiem twierdzić – byłby kontent, wie-

dząc, że mieliśmy w Kościele katolickim kogoś takiego jak prezbiter Jan Kracik.

Słucham i czytam papieża Franciszka – i myślę o ks. Kraciku. O jego skromności i niechęci do tytułów, zaszczytów i paradnych strojów. O jego ubóstwie, nieposiadaniu samochodu (dopóki pozwalało mu na to zdrowie, jeździł na rowerze), nieużywaniu kom-putera, o samodzielnym prowadzeniu gospodarstwa domowego (zakupy na Starym Kleparzu, gotowanie!) i honorariach przekazywanych potrzebującym – naj-częściej tak żeby nie wiedzieli, kto jest ich dobroczyńcą. O poczuciu humoru, ciekawości świata i dziecięcej wręcz prostocie, sprawiającej, iż zimą Profesor nosił ze sobą plastikowe jabłuszko (rodzaj saneczek), i często z niego korzystał. Wreszcie o wyczuciu teologicznym, które kazało mu upominać się o radość w Kościele – zwłaszcza w okresie wielkanocnym. Napisał o tym kiedyś artykuł: *Paradoksy wiary wielkanocnej. Dlaczego nasz katolicyzm jest wielkopiątkowy?*.

Ci, którzy go znali, wiedzą: Ksiądz Jan był człowie-kiem paschalnym. Ten rys jego duchowości stał się szcze-gólnie wyraźny, kiedy dopadła go śmiertelna choroba. „Umierał z wiarą, która była dla mnie porażająca” – powie bp Ryś. Dwa tygodnie przed śmiercią ks. Kracik napisał: „Skoro więc mego życia lampa skwierczy i dogasa, pora szykować się do drogi, choć raczej zapewne ze sporym przystankiem czyśćcowym, w podróż windą miłosier-dzia Baranka Bożego do nieba”. A w ostatniej rozmowie ze swoim uczniem mówił, że „jest w nim pewność wiary, ale też coraz silniejsza ciekawość, jak to będzie po dru-giej stronie”.

W podarowanej mi przed laty książce o „czarnej śmierci”, kiedy poprosiłem go o dedykację, napisał: „Pokonać czarną śmierć i wszelkie inne jej barwy można tak tylko, jak potrafimy to w wielkanocny poranek...”.

Umarł w czasie oktawy wielkanocnej, nad ranem. Pozostawił szczegółowe dyspozycje dotyczące pogrzebu: trumna na ziemi, bez katafalku i zdobiących ją kwiatów, bez mszału i kielicha zwyczajowo umieszczanych na trumnie księdza. Żadnych mów pogrzebowych. Pieśni wyłącznie o Chrystusowym zmartwychwstaniu.

49 lat temu na swoim obrazku prymicyjnym neopre-zbiter Jan Kracik umieścił słowa Jana Chrzcziciela: „Taka jest moja radość. On ma wzrastać, a ja stać się mały”. Dziś – powiedział w czasie kazania pogrzebowego bp Ryś – „to słowo stało się ciałem”.

Soborowe reformy między bytem a niebytem

KS. JAN KRACIK

Mimo upływu lat soborowa wizja Kościoła pozostaje jeszcze daleka od urzeczywistnienia. (...) Wiele pozostawia do życzenia stan współdziałania duchowieństwa i laikatu. Współodpowiedzialność wszak to prawo głosu i udział w procesie decyzyjnym. Nie jest to w pełni możliwe, dopóki wewnętrzna, czyli wspólnotowa, natura Kościoła nie utrwali się wyraziście w świadomości tych, z których Kościół się składa. (...) Podział na Kościół nauczający i słuchający jest przecież nadal silniejszy niż życie prawdą, że jest to przede wszystkim społeczność braterska odrodzonych „z wody i Ducha Świętego”, której głową jest Chrystus.

Tak brzmi opinia jednego z ojców soboru, bp. Edwarda Schicka. Jego ocenę można uzupełniać lub tonować, niemniej i tak trudno – dokonawszy przeglądu dzisiejszego stanu Kościoła – uznać, że jest to pełna realizacja nadziei soboru. Pozostawiając na boku łatwe zestawianie dokumentów soborowych z bieżącą rzeczywistością eklezjalną, skupmy się na przyczynach ich faktycznie słabej obecności w kościelnym myśleniu i praktyce.

Kiedy ktoś zapytał Jana XXIII, czego spodziewa się po soborze, papież otworzył ponoć okno i powiedział: „Świeżego powietrza”. Uświadomił on sobie i biskupom,

że dotychczasowa strategia wobec współczesności, polegająca głównie na obronie i potępianiu, straciła siłę oddziaływania. Żywił mocne przekonanie, że głoszenie Ewangelii wymaga dziś wyzbycia się nagromadzonej nieufności wobec świata i zastąpienia jej otwartością, której fundament stanowi zasada dialogu. Skoro posłużył się nią sam Bóg w historii zbawienia, (...) dlaczego kościelne nauczanie, szukanie prawdy, podejmowanie decyzji miałyby przypominać jedynie zarządzenia i dekryty? Czy katolicka prawowierność wymaga dystansu wobec innych religii, a nawet wyznań chrześcijańskich? Dopuszczenie zaś w Kościele do głosu opinii i wsłuchanie się w nią czy niweczy autorytet głoszących i kierujących? Czy świeccy mają ciągle działać w Kościele tylko z mandatu duchownych?

Na te i wiele innych pytań padła odpowiedź odmienna od tej, jaką dawano przez wieki. I tak oto kościelna czołówka (...) dopędziła wehikuł świata, poprawiając komunikację z nim, a w pierw odnawiając własną świadomość eklezjalną. A co z resztą Kościoła, z jego wiernymi i księżmi? Jaka ich część i jak głęboko żyła soborem, czytała jego dokumenty, rozumiała je i akceptowała? Wszak sami ich autorzy uchwalali je po długich nieraz dyskusjach i nie wyłącznie jednogłośnie. Ile czasu, sił i środków poświęcono promocji i uprzystępnieniu soborowych treści? W jakim stopniu przewidywano możliwe opory i dbano o ich uprzedzające rozładowanie, w jakim zaś zaniedbano perswazji, nie doceniwszy ludzkich przyzwyczajęń?

Jak często i w jakiej postaci w polskich listach pasterskich i kazaniach pojawiała się tematyka soborowa w latach 1962–1965? Wówczas to wspierano rzymskie prace pasterzy Kościoła nie tyle poprzez poznanie i komentowanie uchwalanych przez nich konstytucji, co poprzez nabożeństwa, pielgrzymki, dobre uczynki, różańce i oddawanie się w niewolę Maryi. Zresztą już pod koniec soboru niezbyt urozmaicony sposób prezentowania go zaczynał nużyć ludzi pod amboną. „Dużo trudniej teraz mówić o soborze. Minął już ten okres, kiedy sobór był wielkim wydarzeniem Kościoła, a może i ludzkości całej” – stwierdził abp Wojtyła przed wyjazdem na końcową sesję *Vaticanum II*. Proboszczom – którzy nie znali soboru z autopsji – było jeszcze trudniej. Zwłaszcza gdy obrady się skończyły i przyszła pora, by nabożeństwa w ich intencji zastąpił wysiłek przyswajania dokumentów (...). Jak pisał bp Pieronek: „Reformy soborowe były u nas realizowane wolno. Na szybkie ich tempo nie pozwalała sytuacja

wewnętrzna kraju ani świadomość eklezjalna wiernych. Większość wysiłku duszpasterskiego włożono w Wielką Nowennę (...) i dopiero w połowie lat 70. rozpoczął się poważniejszy wysiłek w kierunku przyswojenia sobie dorobku soboru. Wysiłek ten skupiał się głównie na synodach diecezjalnych”.

Do wspomnianej świadomości eklezjalnej wiernych należałoby dopisać pytanie o stan tejże świadomości u duszpasterzy (...). Wielowiekowych standardów pastoralnych, urobionych i zasiedziały modeli wzajemnych relacji księży i świeckich nie był w stanie szybko zmienić nawet sobór. A przecież losy jego recepcji rozegrać się miały na dole, na poziomie parafii. Największą i do dziś częściowo tylko pokonaną barierą soborowej reformy były i są stare przyzwyczajenia, które przebijają się ciągle przez nowe opakowanie, a których nie da się zmienić zarządzeniem, (...) lecz jedynie długo-trwałą perswazją i przykładem płynącym szczególnie z kościelnej góry. Też gorzej łatwiej jednak było zebrać się i wykonać olbrzymią pracę zwaną soborem, niż potem – wróciwszy do siebie, do swoich kurii i księży – wytrwać w urabianiu duchowieństwa na niez mordowanych promotorów nowego, które nie tylko wymaga od nich dodatkowego wysiłku, ale prowadzi do utrudnienia życia, jako że paternalizm jest łatwiejszy od partnerstwa, a monolog od dialogu.

Nie jeden z ojców soboru (...) doznawał zapewne niejakiej frustracji, gdy po powrocie do diecezji był zapraszany przez parafie nie do wzięcia udziału na przykład w komentowaniu tekstów soborowych, lecz po dawnemu: by poświęcił dzwon czy baldachim. Oczywiście, nawet przy takiej okazji nawiązać można do soborowych treści, z tym że głos dzwonu raczej je wtedy przytłumi, niż podkreśli. Podobnie było z nakładaniem się w czasie tematyki soborowej i uroczystości Wielkiej Nowenny. Losy pilnowanego przez milicję obrazu i „teologia” jego ram obwożonych po kraju absorbowwała niektórych pasterzy bardziej niż konstytucja *Gaudium et spes* i próby jej realizacji. (...)

Sobór nie stworzył struktur i norm prawnych zabezpieczających skutecznie wykonanie całości jego postanowień, choćby przewidzianej decentralizacji – od kolegialności po uprawnienia świeckich. Wyższa instancja, poczynawszy od kurii rzymskiej, a skończywszy na plebanii, postawiona oto została w roli głównego promotora pomniejszania swoich dotychczasowych kompetencji. Czy wobec tego należało oczekiwać tendencji do poszerzającej czy zawężającej interpretacji soborowej linii

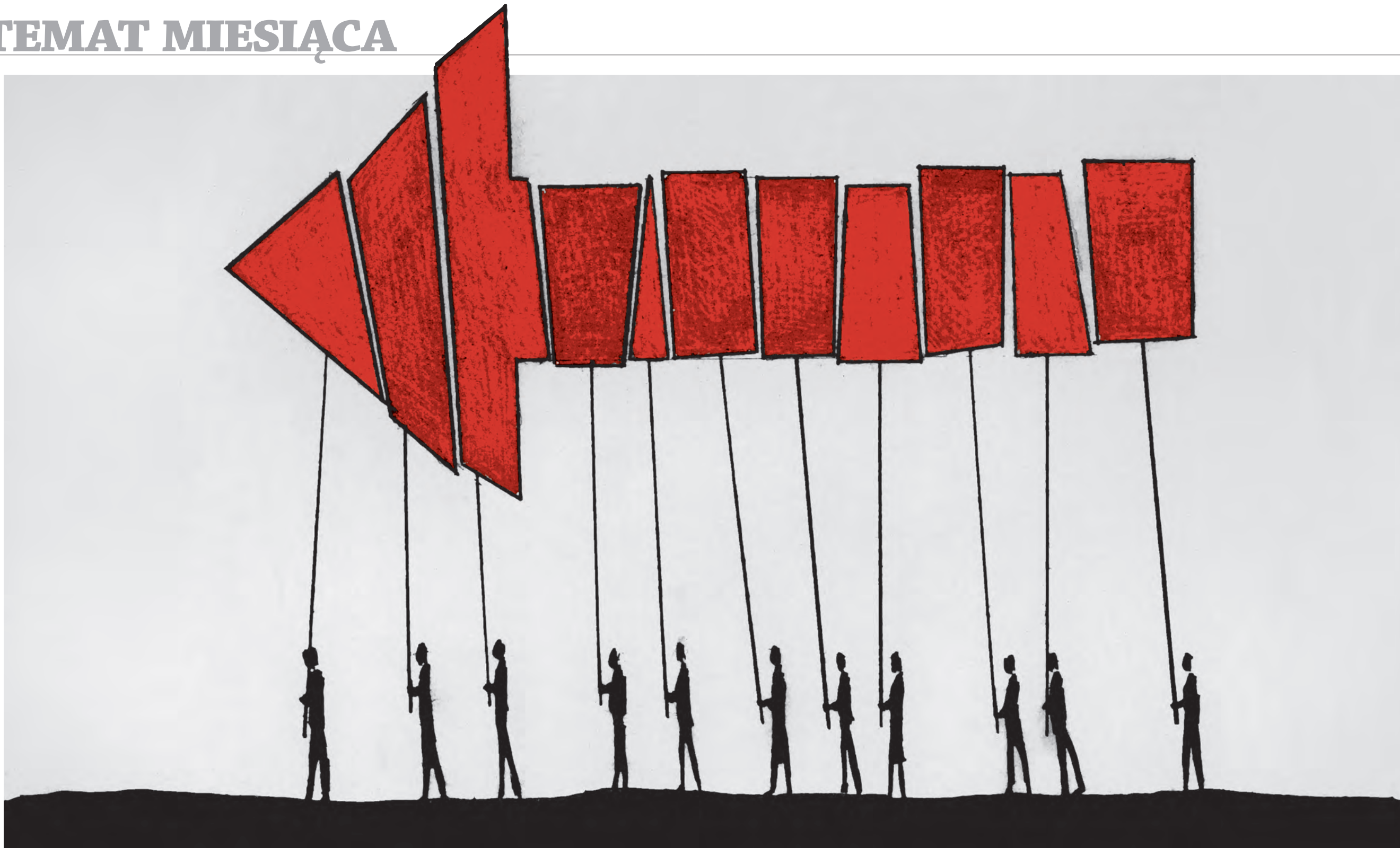
cedowania uprawnień w dół, czyli ich powrotu na należne miejsce? Nie jeden tedy z kościelnych dygnitarzy (...), zaniedbawszy konsultacji i innych form dialogu, poprzestaje tradycyjnie na pouczeniach, kazań słucha jedynie we własnym wykonaniu, wystarcza sam sobie za doradcę, a swą życzliwość rezerwuje dla ugrupowań, które choć werbalnie opowiadają się za soborem, nieufnie patrzą na wolność i samodzielność, pokładając największe nadzieje w porządku, kontroli i posłuszeństwie. Osłabła też wyrażana przez sobór wola rzeczowej dyskusji z coraz to nowymi nurtami myślowymi, a wzmocnieniu uległy stare kościelne nawyki globalnego ich odrzucania, bez wystarczających rozróżnień. Sobór dystansował się wobec tego, co odbiega od chrześcijaństwa, w stylu bliższym Ewangelii, niż czyni się to dziś w niejednej miarodajnej wypowiedzi kościelnej.

Pewne impulsy soboru zakorzeniły się jednak w eklezjalnej glebie wystarczająco głęboko, by nie zmoęła ich przejściowa posucha, zrozumiała poniekąd, jak faza między deszczami, (...) jak sprawdzające się przy każdej śmiałej reformie prawo wahadła. Te osadzone już mocno pojęcia, których nie stłamsi ani lekkość jednych, ani obojętność wielu, to: lud Boży, ekumenizm, wolność religijna, równość w podstawowej godności ochrzczonych, samorządność Kościołów lokalnych, dialog. Żyjące tymi treściami ruchy i środowiska niekiedy przekraczają kościelnie dopuszczalne granice, niekiedy zaś są o to zbyt pochopnie posądzane. Stąd tu i ówdzie ich i hierarchii, nierzadko wzajemne, kryzysy zaufania. Droga do jego odbudowania i powrotu do wzajemnego respektowania cudzych kompetencji prowadzi tylko poprzez dialog. (...)

Przyszłość należy nie do tych, co patrzą wstecz. Sobór wciąż daje przekonującą odpowiedź na problemy teraźniejszości, od której ta przyszłość ciągle się zaczyna. A stary biskup Schick, ubolewając, że sobór przeszedł obecnie z fazy *allegro* na *ritardando*, cieszy się, że w zbiornikach Kościoła jest jednak sok z soborowych winogron, który chociaż na swą fermentację potrzebuje dużo czasu, to przecież dzięki cierpliwej staranności przemieni się stopniowo w wyborne wino. ■

Skrócona wersja tekstu, który ukazał się w 524 numerze „Znaku” (1999).

■ KS. JAN KRACIK (1941–2014) – prof. dr hab., historyk Kościoła, wykładowca UPJPII, publicysta, członek zespołu redakcyjnego „Znaku”. Wydał m.in.: *Święty Kościół grzesznych ludzi, Chrześcijaństwo kontra magia, Historia Kościoła katolickiego w Polsce*



RYS. GARY WATERS/IKON/GETTY IMAGES

Praca

Czy w demokratycznym i liberalnym ustroju praca może być narzędziem budowania wspólnoty? Czy w gospodarce wolnorynkowej jest miejsce na współpracę, a nie jedynie na rywalizację? W jaki sposób wspierać te inicjatywy i podmioty, które realizują ważne społeczne cele oraz tworzą kulturę współpracy? Odpowiadają: Bauman, Bortnowska, Delsol, Hausner, Wasilewski

Przestawianie torów

Od czasu transformacji w Polsce wciąż utrzymuje się dwucyfrowa stopa bezrobocia. I choć raz jest ona większa, raz mniejsza, obecnie wynosi ok. 14%, mimo upływu 2,5 dekady pracy wciąż nie ma dla wszystkich. Czy w systemie gospodarki rynkowej wszyscy jesteśmy w stanie znaleźć pracę?

Z **JERZYM HAUSNEREM** ROZMAWIA

DOMINIKA KOZŁOWSKA

Czy postulat pełnego zatrudnienia można próbować godzić z systemem wolnorynkowym?

Bezrobocie samo w sobie jest złem. Jestem głęboko przekonany, że dla osoby, która chce, a nie może, być aktywna zawodowo, brak pracy jest źródłem cierpienia. Jeśli coś jest złe dla jednostki, jest złe również i dla społeczeństwa. Uważam, że każda gospodarka potrafi wchłaniać zasoby pracy; stwarzać miejsca dla tych, którzy chcą być aktywni zawodowo, co nie oznacza, że bezrobocie ma literalnie wynosić zero. Brak wystarczającej liczby miejsc pracy jest źródłem wielu negatywnych zjawisk społecznych, dlatego mimo iż część ekonomistów dowodzi, że w krótkim czasie bezrobocie frykcyjne jest dla gospodarki korzystne, w dłuższym – ma na nią negatywny wpływ. W całościowym rachunku musimy brać pod uwagę również koszty społeczne: choroby psychiczne, patologie, osłabienie międzyludzkich więzi. Dlatego społeczno-gospodarczy postulat pełnego

zatrudnienia, jeżeli nie rozumie się go dogmatycznie, ale jako rację, że ludzie, którzy chcą być aktywni zawodowo, powinni mieć możliwość znalezienia zatrudnienia, uważam za fundament mojego myślenia.

Dlaczego jak dotąd nie udało się zrealizować tego postulatu? Czy brakuje nam narzędzi i pomysłów? A może woli i determinacji?

Nie mówię o nakazie: masz pracować. Mówię o normie: społeczeństwo powinno dbać o to, by system gospodarczy pozwalał wszystkim, którzy chcą być aktywni zawodowo, aktywność tę realizować. Dotyczy to zarówno kobiet, jak i mężczyzn, ludzi w wieku aktywności zawodowej, ale i seniorów. Uważam nawet, że społeczeństwo powinno funkcjonować tak, aby osoby, które przeszły na emeryturę, a chcą nadal być aktywne zawodowo, miały ku temu możliwości. Czy taki system jest możliwy? Są kraje, które w jakimś stopniu zbliżają się do tego

modelu, więc nawet jeżeli nie jest on spełniany całkowicie, w niektórych państwach jest osiągany w dużo większym, a w innych w mniejszym stopniu. Czy to oznacza, że wszystkie te kraje, w których nie udaje się tego postulat u zrealizować, mogą wzorować się na krajach skandynawskich? Tylko do pewnego stopnia. Musimy bowiem pamiętać, że państwa te są odmienne kulturowo, mają za sobą trochę inną drogę, strukturę społeczną, ale i inne problemy. Dlatego choć sam postulat ma wymiar uniwersalny, drogi jego realizacji za każdym razem muszą być odmienne. To jest pierwsza myśl. Druga: pyta Pani, czy gospodarka rynkowa rzeczywiście może funkcjonować efektywnie i zagospodarować wszystkie zasoby

ślone świadczenia, ale i zobowiązania, i to zobowiązania weryfikowalne. Mam na myśli zobowiązania pozwalające podnosić klasyfikacje zawodowego opiekuna, którym jest bliska osoba. Zbudowanie takiego systemu opieki nad osobami niepełnosprawnymi, w którym mamy do czynienia z *quasi*-zatrudnieniem socjalnym, należy do władzy publicznej. Natomiast skoro obecnie nie jesteśmy w stanie wprowadzić takiego rozwiązania, to pomyślmy np. o ubezpieczeniu pielęgnacyjnym. Tak czy owak, nie zmienia to faktu, że ze względu na zmiany demograficzne państwo będzie musiało wziąć na siebie obowiązek tworzenia miejsc pracy dla opiekunów socjalnych. Jeżeli pojawiają się takie potrzeby i nie

Wystarczy przeanalizować i te negatywne, i te pozytywne doświadczenia i wyciągnąć z nich wnioski.

W tej chwili rozmawiamy o modelu. Jest on z różną intensywnością realizowany w skali mikro, na poziomie konkretnych projektów prowadzonych przez podmioty ekonomii społecznej. Najtrudniejsze wyzwania pojawiają się jednak na poziomie makro, władzy centralnej. Tu konkretne programy budowania społecznej podstawy gospodarki rynkowej przygotowywały różne rządy, w tym te, w których prace pośrednio lub bezpośrednio był Pan zaangażowany. Nigdy jednak wizja ta nie doczekała się konsekwentnej realizacji. Dlaczego?

Owszem, czymś innym jest teoretyczny model, a czymś innym konkretna sytuacja, w której, powiedzmy, znajduję się jako minister pracy w 2001 r., kiedy z jednej strony mam prawie 14 mln osób, które mają prawo do świadczeń socjalnych, a z drugiej – 14 mln osób, które trzeba wysoko opodatkowywać, aby ta pierwsza grupa mogła świadczenia otrzymywać; mimo iż same te świadczenia są i tak marne.

I jeszcze wśród tych 14 mln osób posiadających prawo do otrzymywania świadczeń socjalnych większość jest niedopasowana do potrzeb rynku pracy... Bo przecież to bezrobocie strukturalne jest największym wyzwaniem ostatnich dekad.

Na początku nasza transformacja poszła w kierunku pełnego urynkowania. Wywołało to efekt w postaci szybkiego, masowego bezrobocia. Odpowiedzią na masowe bezrobocie były, z jednej strony, świadczenia socjalne, a z drugiej – wprowadzanie ludzi z rynku pracy. Mieliśmy do czynienia z narastającą luką między dochodami a zatrudnieniem. Luka ta ujawniła się m.in. w spadku konsumpcji krajowej. Trzeba było temu przeciwdziałać. W związku z tym jako minister pracy zacząłem przesuwac te wektory. Oczywiście nie ja wymyślałem rozwiązania, lecz ludzie tacy jak Tomasz Sadowski, którzy się na tym znali lepiej ode mnie. To właśnie te osoby zwróciły moją uwagę na ekonomię społeczną. Zespół działający pod moim kierunkiem przygotował całą serię ustaw mających na celu przesunięcie wydatków socjalnych w kierunku aktywizacji zawodowej, a nie pomocy bezpośredniej. Powstały wówczas projekty ustawy o działalności pożytku społecznego i wolontariacie czy konstytucji dla organizacji pozarządowych. Moim pomysłem była także do dzisiaj niezrealizowana ustawa o przedsię-

biorczości społecznej. Chcę wyraźnie podkreślić, że strategia ta była podporządkowana logice rozwiązywania problemów niedopasowania strukturalnego na rynku pracy. Część propozycji szła w kierunku budowania segmentów uzupełniających, co wymagało więcej czasu. Rachunek sumienia podsumowujący tamten okres zrobiłem w książce . Opisałem w niej podjęte inicjatywy, ówczesną sytuację na rynku pracy.

Jednym z kluczowych dla rozwoju gospodarczego czynników jest wzrost wydajności pracy. Wydajność tę można poprawić przez lepszą organizację pracy, motywację, ale też – poprzez wprowadzanie nowych technologii. Ten ostatni sposób, choć ważny dla konkurencyjności gospodarki, rodzi pytania odnośnie do przyszłości pracowników słabiej wykwalifikowanych.

To mi przypomina XIX-wieczne historie, kiedy ludzie niszczyli maszyny, bo obawiali się, że te zajmą ich miejsca pracy. Owszem, tak się stało, ale przecież w konsekwencji wprowadzenia maszyn mieliśmy do czynienia z rozwojem społeczno-gospodarczym. Podobnie jest z nowoczesnymi technologiami. Technologie będą wypierały pewien typ pracy, ale będą też otwierały możliwości tworzenia nowych miejsc pracy np. w usługach.

To jednak od ludzi słabiej wykwalifikowanych wymaga umiejętności rozwoju nowych kompetencji, a od rządzących – myślenia strategicznego. Tymczasem i z jednym, i z drugim jest u nas krucha.

Utrzymywanie wysokiej dynamiki rozwoju sprawia, że zmienia się charakter pracy, potrzebne są wyższe kompetencje, co oznacza, że dłużej się uczymy, dłużej zdobywamy kwalifikacje. W wyniku tych procesów okazało się, że dziś pracujemy relatywnie krócej. Nie tylko krócej w stosunku do wspomnianego już XIX w., ale też krócej w stosunku do systematycznie wzrastającej długości życia. Kilkadziesiąt lat temu długość życia przeciętnego mężczyzny na emeryturze wynosiła trzy lata. Obecnie jest to kilkanaście lat. To rodzi określone zmiany nie tylko w sferze opieki medycznej, ale w obszarze związanym ze spędzaniem czasu wolnego. Wszystko jedno, czy mówimy o potrzebie zwiedzania świata, fotografovania, pielęgnowania ogródka czy opieki nad wnukami, te wszystkie aktywności rodzą nowe wyzwania w dziedzinie, którą określa się mianem *survey economic*. Niedawno doradzałem władzom Starego Sącza przy budowie strategii rozwoju miasta. Zaproponowałem, aby Sąd-

Wciąż się zastanawiamy nad tym, kto państwem kieruje, a według mnie kierowali już wszyscy. W Polsce rządili już wszyscy, nawet Janusz Palikot, który przecież był jedną z najbardziej wpływowych osób w PO, osobistym doradcą Donalda Tuska

pracy. Jeśli nie, czyli jeśli dopuszczam, że dany model gospodarki rynkowej nie jest w stanie temu sprostać, to w takim razie powinniśmy poszukać innej możliwości aktywizacji zawodowej. Innej, tzn. opartej nie na zasadach rynkowych, ale na zasadach ekonomii społecznej.

Potrzeba szukania komplementarnych względem gospodarki wolnorynkowej rozwiązań była rozpoznana już w chwili podjęcia przez rząd Tadeusza Mazowieckiego reform gospodarczych. Ale czy adresatem tego postulat u jest jedynie centralna administracja?

Z pewnością adresatami są i państwo, i organizacje pozarządowe. Nigdy samo państwo. Ekonomia społeczna jest w istocie ekonomią małych gabarytów, opartą na działaniu organizacji społecznych, przedsiębiorców, otwartą na oddolne inicjatywy. Jest to narzędzie, którym powinny zarządzać instytucje obywatelskie. A jeżeli już tylko państwo, to przede wszystkim w oparciu o struktury samorządowe. Samo państwo powinno jedynie tworzyć warunki.

Obecnie dyskutujemy o sprawie opieki nad dziećmi czy osobami niepełnosprawnymi, które wymagają całodobowej troski. Uważam, że taka opieka powinna być uregulowana poprzez kontrakt zawodowy. Tyle że z tego kontraktu powinny wynikać nie tylko okre-

są one zaspokajane przez rynek – a możemy przyjąć, że część tych potrzeb nie będzie zaspokajana przez rynek, gdyż działania takie nie przynoszą odpowiedniego zysku – wówczas obowiązek ich zaspokojenia musi na siebie brać władza publiczna.

Czy rozwój przedsiębiorstw ekonomii społecznej (np. różnego typu spółdzielni, miejsc pracy chronionej, sektora organizacji pozarządowych lub nowych podmiotów – kooperatyw małych producentów czy usługodawców) może być elementem planu gospodarczego? Być może działania te są częścią nowoczesnej polityki społecznej?

Tworzenie takich miejsc pracy wpływa na gospodarkę kraju, i to silnie. Działania takie nie tylko odpowiadają na ważne problemy społeczne, ale zarazem generują przychody budżetowe czy to z tytułu podatków bezpośrednich, czy pośrednich. Co to znaczy, że ludzie mają dochody? To znaczy, że są konsumentami. A jeżeli są konsumentami, to nakręcają wzrost gospodarczy. Gospodarka rynkowa nie będzie funkcjonowała, jeżeli w jej otoczeniu nie będą działały segmenty komplementarne. Oczywiście możemy dyskutować o narzędziach, sposobach realizacji tych postulatów. Mamy dzisiaj wystarczającą wiedzę, aby nauczyć się, jak to robić dobrze. Ekonomia społeczna to nie są mrzonki.

czyzna stawiała się Florydą Polski, aby ludzie w wieku emerytalnym przenosili się na te tereny. Ponieważ są one uznawane za jeden z najzdrowszych regionów Polski, już teraz jest tam dużo sanatoriów, zakładów leczniczych. Lokalni politycy powinni więc już dziś pomyśleć o tym, jak umożliwić ludziom relatywnie tani dostęp do zróżnicowanych warunków mieszkaniowych, zapewnić ciekawy program kulturalny, niezbędną infrastrukturę. Jeżeli to zostanie dobrze zrobione, powstaną miejsca pracy dla ludzi młodych, którzy w przeciwnym razie wyjadą gdzieś w poszukiwaniu pracy.

Mamy obecnie do czynienia z niezwykle trudnym przekształceniem strukturalnym. Zmiany dziś muszą przebiegać szybciej, a jednocześnie musimy umieć odróżniać, które impulsy płynące z otoczenia powinny nas do zmiany skłaniać. To z kolei sprawia, że na szczeblu centralnym i lokalnym potrzebna jest władza, która ma dobrą wyobraźnię strategiczną. Uważam, że nie brakuje nam dzisiaj wiedzy, lecz umiejętności przewidywania wydarzeń i podejmowania działań w dłuższej perspektywie. Wszystko podporządkowujemy logice pozyskania środków unijnych. Mam wrażenie, że dotacje zaczęły bardzo wiele psuć, bo gra o nie stała się po prostu grą o pieniądze, a nie grą skupioną na rozwiązywaniu problemów. Mnie się wydaje, że jeżeli ktoś ma naprawdę dobry projekt, to prędzej czy później znajdzie finansowanie.

O potrzebie strategicznego przywództwa, wizji rozwoju mówi się w Polsce od dawna. Jakie przeszkody utrudniają więc to przejście od myślenia i działania podporządkowanego doraźnym celom do myślenia i działania strategicznego?

Jedną z barier dla naszego rozwoju jest to, że jako państwo wpadamy w pewne koleiny, narzucające nam tor, po którym się poruszamy. Tymczasem nowoczesny rozwój polega na tym, że potrafimy szybko przestawiać te tory, dostosowywać nasze wizje do zmiennych warunków. Dostosowywać, a nie przystosowywać się! Myślenia prospektywnego, wyprzedzającego, polegającego na podejmowaniu świadomych wyzwań opartych na hipotezach odnośnie do przyszłości, jest w Polsce mało i na ogół taki sposób myślenia nie jest w polityce premiowany. Zwykle bardziej ceniona jest doraźna skuteczność: ktoś załatwił dziury, inny wybudował nowy odcinek autostrady. Dlaczego tak jest? Siła naszych struktur państwowych i administracyjnych polega m.in. na tym, że aby działać, muszą być trwałe i stabilne. Przez to jednak są wyjątkowo inercyjne. Jednak w sytu-

cji, kiedy musimy skracać dystans do państw wysokorozwiniętych, przedstawiać nasze mikrostruktury społeczne, państwo powinno sprzyjać wyzwaniu energii. Tymczasem staje się ono coraz bardziej biurokratyczne, coraz bardziej reaktywne. To jest pewien paradoks, że im większymi możliwościami dysponuje administracja, tym rządzenie staje się mniej skuteczne. Wciąż się zastanawiamy nad tym, kto państwem kieruje, a według mnie kierowali już wszyscy. W Polsce rządzili już wszyscy, nawet Janusz Palikot, który przecież był jedną z najbardziej wpływowych osób w PO, osobistym doradcą Donalda Tuska. Jeżeli mielibyśmy się dziś zastanowić, kiedy to państwo dawało najwięcej siły rozwojowej, to niewątpliwie był to okres rządów Tadeusza Mazowieckiego.

Zgoda. Jednak ten rząd nie miał innego wyjścia. Wtedy po prostu wszystko się zawaliło i trzeba było poruszyć każdy element polityczno-gospodarczej organizacji.

Trzeba więc było szybko wszystko poprzestawiać. Dziś problemem nie jest to, że system się konsoliduje, lecz że konsoliduje się w sposób, który uniemożliwia zmianę.

Wspomniał Pan o rachunku sumienia. Panu również nie udało się wprowadzić postulowanych zmian.

Jestem często pytany o to, czy cierpię przez to, że się nie udało wprowadzić tych różnych rozwiązań. Cierpię, ale nie w znaczeniu osobistym. Po prostu uważam, że nie-dobrze się stało nie dlatego, iż tego nie uchwalono, bo nie ma takiej władzy, która by uchwaliła wszystko naraz; cierpię dlatego, że później tego nie kontynuowano. Jak się nie udało wtedy, to trzeba było próbować ponownie. Zamiast ciągłości strategicznej władzy, która konsekwentnie tworzy lepsze warunki, mamy do czynienia z miotaniem się od ściany do ściany. Zgadza się, że trzeba dziś przeprowadzić rzeczywiste korekty systemu OFE. Zamiast tego poszliśmy drogą na skróty i rozmontowaliśmy istniejący system. To pokazuje inercyjność tego układu, wszystko, co doraźnie służy poprawianiu układu władzy, jest eksploatowane. To jednak sprawia, że w kategoriach ekonomicznych nasza gospodarka jest ekstensywna i jak każda gospodarka ekstensywna napotka bardzo twarde bariery rozwoju. Przejście od ekstensyfikacji do intensyfikacji, czyli od eksploatowania do pomnażania zasobów, choć nie jest proste, jest konieczne. Musimy zacząć wykorzystywać zasoby pracy, tak aby zasoby te stawały się wyższe jakościowo, efektywniejsze. Dziś wiemy, które modele gospodarcze

lepiej temu służą. Wyciągajmy więc z tego wnioski. To nie jest wiedza tajemna.

W których obszarach widzi Pan dziś przewagi konkurencyjne przyczyniające się do rozwoju gospodarczego?

Są miary pozwalające określić, w których sektorach gospodarki należy ich szukać. W raporcie *Konkurencyjna Polska. Jak awansować w światowej lidze gospodarczej?*, który przygotował zespół Fundacji Gospodarki i Administracji Publicznej, zaproponowaliśmy metodę analizy konkurencyjności naszej gospodarki i wskazaliśmy co najmniej pięć sektorów, które mają wysoką wartość w eksporcie, w tym przemysł rolnospożywczy czy przemysł mineralny. To są obszary naszych rzeczywistych przewag. Zaproponowaliśmy działania, które pozwolą zwiększyć przewagę tych sektorów. Czy to oznacza, że reszta się nie liczy? Nie, powinniśmy się zastanowić, co można zrobić, aby również w innych obszarach zwiększać wartość eksportu. To jest to spojrzenie mikro, ale oczywiście musimy też spojrzeć w perspektywie makro. Co tu jest naszą przewagą konkurencyjną? Mimo wszystko wciąż jeszcze demograficzna prężność. Wiadomo, że przed nami jest radykalna zmiana tendencji demograficznych, ale jeżeli weźmiemy pod uwagę, ile roczników w ciągu ostatniej dekady weszło na rynek pracy, to dojdziemy do wniosku, że z punktu widzenia zawodowego wciąż jesteśmy społeczeństwem młodym i prężnym.

Aktywność zawodowa wśród ludzi w wieku produkcyjnym nie jest jednak naszą mocną stroną, o czym mówiliśmy na początku naszej rozmowy.

Fakt, jesteśmy społeczeństwem o relatywnie niskim wskaźniku aktywności zawodowej. W grupie osób aktywnych zawodowo jest dużo większy potencjał niż jego realne wykorzystanie. Innymi słowy, mamy dużo większe zasoby niż możliwości jego wykorzystania. Dysponujemy wysokiej jakości kapitałem ludzkim. Dlaczego więc ten kapitał się nie rozwija? Bo my ciągle stawiamy na sektory, w których liczy się tania praca. A dlaczego tak się dzieje? Bo kapitał zagraniczny szuka w Polsce przede

wszystkim taniej siły roboczej. Co zrobić, aby zagraniczni inwestorzy szukali u nas również pracowników wiedzy? Można np. zmienić sposób działania specjalnych stref ekonomicznych, cele władz samorządowych, można stawiać na innego typu inwestorów i formułować w stosunku do nich określone wymagania. Można wreszcie wejść w bardziej aktywny dialog z polskimi przedsiębiorcami. Jeżeli Polska ma się dalej rozwijać, musi lepiej wykorzystywać kapitał ludzki i inwestować środki w podnoszenie wzrostu tego kapitału. A jeżeli chcemy lepiej wykorzystywać kapitał ludzki, musimy opłacać wzrost wydajności pracy. Wówczas będziemy wzmacniali te sektory gospodarki, które bazują na pracy wyższej jakości, a nie na niskich kosztach.

Czy zmianom tym sprzyjać będzie dalsze uelastycznienie rynku pracy czy właśnie dodatkowe regulacje?

W okresie kiedy pełniłem funkcję ministra pracy, nie szedłem wyłącznie w kierunku dalszego uelastyczniania, lecz starałem się budować równowagę między elastycznością a bezpieczeństwem pracy. Z mojej inicjatywy powstało nowoczesne ustawodawstwo przygotowane przez komisję kodyfikacyjną prawa pracy, której przewodniczącym był najpierw prof. Tadeusz Zieliński, a później prof. Marian Seweryński. Opracowała ona nowy kodeks pracy i nowe zbiorowe prawo pracy. W 2006 r. Marek Belka

przekazał je Kazimierzowi Marcinkiewiczowi, w którego rządzie ministrem, aczkolwiek nie ministrem pracy, lecz nauki i szkolnictwa wyższego, był prof. Marian Seweryński. Pytam się zatem: gdzie jest to nowoczesne ustawodawstwo zrobione przez najlepszych prawników? Moim zdaniem tej równowagi dziś nie ma. Idziemy w kierunku zwiększania elastyczności, co poprawia koniunkturę i konkurencyjność, ale jedynie doraźnie. Na dłuższą metę obniża nasze możliwości przechodzenia do bardziej złożonych form organizacji pracy. Jeżeli bazujemy na taniej sile roboczej, z konieczności mamy wysokie bezrobocie. W konsekwencji nie inwestujemy w pracę, bo po co inwestować w pracowników, którzy nie są trak-

Ekonomia społeczna jest w istocie ekonomią małych gabarytów, opartą na działaniu organizacji społecznych, przedsiębiorców, otwartą na oddolne inicjatywy

towani jako kapitał? Musimy zmienić tę relację: zacząć lepiej opłacać wydajność pracy, motywować najlepszych, żeby nie emigrowali, tylko zostawali, szukać dróg zawodowego rozwoju tych, którzy w warunkach konkurencji rynkowej radzą sobie gorzej. To jest kolejny etap przedstawiania wektorów, odejście od tego skoleinowania, o którym mówiłem.

W tym roku obchodzimy także 10. rocznicę wejścia Polski do UE. Dla Pana jako ministra gospodarki, pracy i polityki społecznej była to zmiana o ogromnym znaczeniu. W jaki sposób to otwarcie wpłynęło na nasz rynek? Co można powiedzieć z perspektywy dekad?

Zdawałem sobie wówczas sprawę, że to otwarcie zmniejszy napięcia na krajowym rynku. Z drugiej strony liczyłem się z tym, że stracimy jakąś część zasobów. Dlatego nie byłem zbyt gorliwy w naciskaniu na naszych zachodnich partnerów, aby te rynki dla nas otwierali. Moim niemieckim kolegom, którzy bronili się przed polskimi pracownikami, mówiłem: „Szczzerze powiedziawszy, bardzo mi pomożecie, zamykając wasz rynek pracy, ponieważ jeżeli mój kapitał ludzki nie przyjdzie do waszych inwestorów, to wasi inwestorzy przyjdą do mojego kapitału”. Zdawałem sobie sprawę, że wchodzimy do Unii m.in. dlatego, że chcemy, aby ludzie mieli większą wolność wyboru, również wyboru miejsca pracy. Tu znów mogę jedynie powtórzyć to, co w tej rozmowie już kilkukrotnie podkreślałem: zadbajmy o to, żeby ludzie mieli rzeczywistą szansę wyboru, a nie działali przymuszani koniecznością. Nie wierzymy, że my, z pozycji władzy, będziemy wiedzieli, czego ludzie pragną. Jeśli chodzi o tę pierwszą falę emigracyjną, to wcale nie jestem przekonany, że będzie ona do nas wracała. Jeżeli nawet tak, to ludzie ci moim zdaniem mogą być wypychani z naszego rynku pracy przez młodsze pokolenia, lepiej przystosowane do polskich warunków.

Które nierówności są naturalną i pożądaną cechą wolnego rynku, a które powinny być niwelowane? Nierówności są w każdym społeczeństwie. Przekonanie, że możemy lub powinniśmy je wyrugować, jest wiarą w jakąś totalitarną władzę, która nas wszystkich ulepi według jednego wzorca. Z natury rzeczy jesteśmy różni. Jeżeli te różnice nie powodują nierównowagi społecznej, nie blokują potencjału rozwojowego, ich regulowanie możemy zostawić systemom mikrospołecznym. Są natomiast nierówności, które mają cha-

rakter społeczny i strukturalny. Te oczywiście trzeba eliminować. Spośród nich najważniejsze dziś to kwestia równości zawodowej kobiet i mężczyzn oraz postępująca segmentacja zawodowa, skutkująca pojawianiem się prac i zawodów śmieciowych.

Czy Polsce jest potrzebne minimalne wynagrodzenie? Czy może ona ograniczać powstawanie zawodów śmieciowych?

Tak. A czy trzeba prowadzić na ten temat dialog? Tak. Czy to od razu rozwiąże problem? Nie. Nie ma jednak innej drogi niż szukanie koniecznej równowagi między pracodawcami a reprezentacjami pracowniczymi. Dziś ma miejsce jakaś dziwna wojna pozycyjna. Jak więc budować tę równowagę? Między innymi doprowadzać do autonomii i dialogu na poziomie przedsiębiorstwa, powodując, że podstawą porozumienia jest układ zbiorowy pracy. To wszystko zostało opisane zarówno w języku politycznym, jak teoretycznym i prawnym. Nie rozumiem więc, dlaczego tego nie robimy.

Elastyczne rozwiązania na rynku pracy są krytykowane za to, że sprzyjają pojawianiu się śmieciowych prac. Z tym problemem nie radzą sobie znacznie bogatsze i lepiej rozwinięte kraje.

Ten proces przechodzono w Stanach Zjednoczonych i miał on bardzo poważny wpływ na podziały społeczne. Mamy tu do czynienia ze złą strukturą społeczną, która jest odtwarzana przez rynek pracy. To jest poważne wyzwanie, co zrobić, aby elastyczność rynku służyła rozwojowi i mobilności pracowników, a nie skazywała określone grupy na stygmatyzację. Doradzam nieraz prezesom, którzy zatrudniają wiele osób na stanowiskach związanych z procesem, gdzie nie ma żadnego pola manewru, zmiany zakresu obowiązków, aby tworzyli w firmie ciekawy wolontariat. Nawet w tych zawodach, które są silnie stechniczowane, w których nie ma elementu pracy twórczej, można stwarzać pracownikom szanse rozwoju. Dlaczego część prezesów uważa, że musi mieć fachowców od zarządzania kapitałem finansowym, a nie musi mieć fachowców od zarządzania kapitałem ludzkim? Firma Lotos ma specjalną Akademię Lotos, która zajmuje się rozwojem kapitału ludzkiego. W ramach tej akademii robi własne badania, szuka sposobów rozwoju pracowników. To jest przykład firmy, która inwestuje w rozwój ludzi nie tylko dlatego, że to się opłaca w krótkim czasie, lecz ponieważ takie działania są wartością samą w sobie.

W 2012 r. przyjęta została ustawa emerytalna stopniowo zwiększająca wiek emerytalny kobiet i mężczyzn do 67 lat. Pan również był zwolennikiem podnoszenia tego wieku. Czy sądzi Pan, że rozwiązanie to zmieni sytuację tych osób, które dziś rynek pracy opuszczają znacznie wcześniej?

Problemem nie jest to, co zostało zapisane w ustawie, ale to, jaki jest przecięty wiek przechodzenia na emeryturę. Mimo iż od dziesiątków lat mieliśmy wpisane 60 lat dla kobiet i 65 dla mężczyzn, w okresie gdy byłem ministrem pracy, kobiety przechodziły na emeryturę średnio poniżej 56. roku życia, a mężczyźni poniżej 59. roku życia. Wydaje mi się, że z punktu widzenia społecznego trzeba szukać rozwiązań, które nie stawiają twardo granicy, ale motywują ludzi do pozostania na rynku pracy. Jestem zwolennikiem dawania ludziom wyboru, czyli wprowadzenia elastycznego wieku emerytalnego. Zawsze się za tym opowiadałem i to rozwiązanie było w proponowanym przeze mnie programie reformy wydatków publicznych. Zasadę tę dyskutowaliśmy już w 1997 r., kiedy powstała koncepcja reformy emerytalnej, którą przygotowywał Andrzej Bęczkowski, a którą po jego śmierci przejąłem i ogłosiłem, dokonując korekt. Ten program reformy zakładał, że wiek emerytalny kobiet i mężczyzn wynosi równo 65 lat. W przedziale 62–67 każdy ma prawo dokonania wyboru, czy przechodzi na emeryturę wcześniej czy później. Działa tutaj zasada: wcześniej – niższe świadczenie, później – wyższe. Miałoby być to wyraźnie policzalne, a ludzie mieli sami decydować, które rozwiązanie jest dla nich korzystne.

Dziś z rynku pracy częściej wypadają kobiety, szczególnie te z niższym wykształceniem. Mimo iż wciąż dyskutujemy, w jaki sposób temu przeciwdziałać, mam wrażenie, że problem nie leży jedynie po stronie pracodawców ani rozwiązań prawnych. Debata o gender, która toczyła się w ostatnich miesiącach, pokazała, że aktywność zawodowa kobiet wciąż jest postrzegana jako element zagrażający stabilności rodziny. Obawiam się, że sprawy nierówności nie rozwiążą jedynie działania o charakterze prawnym.

Jeżeli aktywność zawodowa kobiet jest niższa niż aktywność mężczyzn, oznacza to, że nie wykorzystujemy znaczącej części potencjału, którym dysponują kobiety. W wymiarze ilościowym, demograficznym mamy równowagę potencjałów, w praktyce zaś – nierównowagę. Kobiety są dyskryminowane w sensie realnym, w mniej-

szym stopniu formalno-prawnym. Czy to ma podłoże kulturowe? Tak. Czy w związku z tym trzeba to podłoże kulturowe zmieniać? Tak, różnymi metodami, niekoniecznie za pomocą działań czysto prawnych, co nie znaczy, że działania czysto prawne są niepotrzebne. Mam takie doświadczenie z mojej rodziny. Moją trzecią wnuczką opiekował się zięć, który akurat stracił pracę i zdecydował się pozostać przez jakiś czas w domu. Jego więź z dziećmi jest dużo lepsza po tamtym okresie, a już z tą córką, którą się opiekował po urodzeniu, ma naprawdę wyjątkową relację. Ona uważa go za podstawowego rodzica. To jest doświadczenie mojej rodziny. Nie chcę przez to nakazać mężczyznom pozostawanie na urlopie tacierzyńskim. Wolałbym dawać rodzicom wybór. Ale żeby ten wybór był możliwy, trzeba wprowadzić rozwiązanie pozwalające rodzicom dzielić się tym urlopem. Wierzę, że ludzie, jeżeli będą mieli ku temu sprzyjające warunki, nie będą robili głupstw.

JERZY HAUSNER – polityk i ekonomista, członek Rady Polityki Pieniężnej. W latach 2001–2005 sprawował mandat posła na Sejm IV kadencji, wybranego z ramienia Sojuszu Lewicy Demokratycznej w okręgu krakowskim. W październiku 2001 r. wszedł w skład gabinetu Leszka Millera jako minister pracy i polityki społecznej. Po zmianach strukturalnych w administracji rządowej od stycznia 2003 r. był ministrem gospodarki, pracy i polityki społecznej, a od czerwca tego samego roku także wicepremierem. Firmował swoim nazwiskiem plan rządu naprawy finansów publicznych (tzw. plan Hausnera), który w większości nie doczekał się realizacji. Stanowiska wicepremiera i ministra gospodarki i pracy pełnił także w rządach Marka Belki. W lutym 2005 r. odszedł z Sojuszu Lewicy Demokratycznej i klubu parlamentarnego tej partii. Wraz z przewodniczącym Unii Wolności Władysławem Frasyniukiem i Tadeuszem Mazowieckim zaangażował się w utworzenie na bazie UW nowej formacji politycznej – Partii Demokratycznej. W styczniu 2010 r. z rekomendacji senatorów Platformy Obywatelskiej Senat RP powołał go w skład Rady Polityki Pieniężnej. Od 1968 r. związany z Uniwersyteciem Ekonomicznym w Krakowie. Pracę na Uniwersytecie Ekonomicznym rozpoczął po zakończeniu studiów w 1972 r. i kontynuuje ją nieprzerwanie aż do dzisiaj. Pracy tej nigdy nie łączył z etatem na innej uczelni publicznej i prywatnej. W 1993 r. założył Katedrę Gospodarki i Administracji Publicznej, której celem jest kształcenie profesjonalnej kadry dla administracji samorządowej i rządowej, przedsiębiorstw sektora publicznego oraz organizacji pozarządowych. Do 2020 r. GAP planuje uformować środowisko badaczy i ekspertów w zakresie zarządzania publicznego i spraw publicznych, które należeć będzie do trzech najlepszych w Polsce, jak również będzie rozpoznawalne i uznane w Europie, szczególnie w grupie państw, które od 1989 r. transformują swoje gospodarki. Wraz z powołaną w tym celu w 2005 r. Fundacją GAP realizuje wiele projektów w zakresie ekonomii społecznej (w szczególności przedsiębiorczości społecznej, społecznej odpowiedzialności biznesu, dialogu społecznego), rozwoju społeczno-lokalnego, zarządzania publicznego i innowacji